Przyjaciel Ludu.

Rok trzeci. **No. 37.** **Leszno, dnia 18. Marca 1837.**



Szczątki zamku Jazłowca w Galicyi.

Szczątki zamku Jazłowca w Galicyi.

Gdy z wszystkich krain świata rycinami okolic pięknych nas narzucają, nie dali się wyprzedzić w téj mierze i polscy księgarze. E. Friedlein w Krakowie wydał przed lat kilku 24 malowniczych widoków okolic czarujących Krakowa, zdjętych z natury przez znanego z sztuki swéj P. Głowackiego. P. Piller z Lwowa, uczynił nam nie mniéjszą przysługę, zebrawszy piękniéjsze Galicyi miéjsca, w nierównie większym jak pierwsze formacie, biegłego mistrza na pięknym papierze wykonane ręką. Obadwa zbiory godne być w ręku miłośników sztuk pięknych i pragnących się z daleka przynajmniéj z własnym obeznać krajem.

Rycina powyższa słabą jest kopią jednéj z 30, stanowiących pierwszy zeszyt zbioru wydanego w litografii P. Pillera: przedstawia ruiny zamku Jazłowca, znamienitego pięknością położenia, ogromem zwalisk i podaniami okolicznych mieszkańców. Był on stolicą biskupa i naczelnika Ormianów, przybyłych do Galicyi w drugiéj połowie 13go wieku, za panowania Lwa Daniłowicza. Lud ten przemyślny, wspierający się nawzajem, wkrótce zaludnił i podźwignął Ruś, spustoszoną najazdami dziczy tatarskiéj, a prowadząc handel aż do krańców zachodniéj Europy, w krótkim czasie przyszedł do zamożności i bogactw. Lecz, na nieszczęście, obudziły one w dziedzicach Jazłowca łakomstwo, i ściągnęły na spokojnych mieszkańców ucisk i prześladowania, tak, iż nieznalazłszy przeciw samowolności w słabym naówczas rządzie pomocy, opuścili swe siedziby i przenieśli się do Lwowa. Od téj chwili już się nie podźwignęło to miasto, a na Jazłowieckich spadł głód, nieurodzaj i morowa zaraza, tak, iż każdy stronił od miéjsca pełnego niegdyś życia; sąsiedzi nawet okopywali się, aby wszelkiego uniknąć z nimi związku. Czuł pan Jazłowiecki nędzne położenie swoje, szukał w winie pociechy, aż nareszcie nędznie zginął, a gród jego piorun zapalił. — Tam, od owego czasu, z gór na wiosnę i jesień, woda zatapia pola, a latem upał zboże wysusza. — Takie jest podanie ludu o Jazłowca zwaliskach: zachowano je w piosnkach i obrzędach, tchnących poezyą, które w pierwszéj pełni za powrotem wiosny obchodzą. Mniemają nadto wieśniacy, że w chwilach, gdzie słońce kona, promień jego kształci czasami w obłokach naprzód złotą przepaskę, potém złotowłose dziecię, na głowie mające wianek, w prawéj krzyż, a w lewéj kwiaty. Jest to za wcześnie zgasły potomek domu Jazłowieckich.

Jeden z znakomitych poetów naszych, trzymając się wiernie podania o Jazłowcu, następującą utworzył o nim dumę:

Minęła burza, deszcz gęsty ustawał,
Jak słaby odgłos kończącéj się bitwy,
Grzmot się mdlejącym hukiem słyszeć dawał;
Ciemne obłoki, lotnemi gonitwy,
Znikły, a słońca wieczornego siły,
Ognistym ponsem horyzont okryły.

Właśniem się zbliżał pod zamek wyniosły,
Na szczycie przykréj skały postawiony;
Gęste go bluszcze w około obrosły,
Strzaskane baszty i mur wyszczerbiony.
Mostu i bramy łańcuchów żelaznych
Już tylko szczątki w znakach niewyraźnych.

Gdym sobie dumał z żałośném przejęciem,
Postrzegłem starca sędziwéj urody,
Klęczał na głazie, wietrzyk lekkiém wzdęciem,
Kędziory siwéj podnosił mu brody.
W ręku paciorki, z czołem nachyloném,
Modlił się Bogu głosem przytłumionym.

Gdy wstał, ja rzekłem: „Ojcze mój sędziwy!
„Jakież w tych miéjscach okropne zburzenie!“
On na to, długie przerwawszy milczenie,
„Wszystko to sprawił gniew Boga straszliwy.
Powiem, com słyszał od mego dziada,
Co dziad mój słyszał od swego pradziada.

Nie jeden temu wiek pewnie uminął,
Jak w tym tu zamku, gdzie te sterczą ściany,
Za Władysława, co pod Warną zginął,
Żył Jazłowiecki, rycerz zawołany;
Nikt mu nie sprostał, z bułatem skrwawionym,
Pędził Tatary za Dniestrem i Donem.

Bodajby nigdy Jazłowiecki śmiały,
Nie znał był innych gonitw i zabawy,
Lecz młody, dumny, rozwiozły, zuchwały,
Boskie i ludzkie pogwałcił ustawy,
Z zapędem ślepym i niepowściągnionym,
Rozpuścił wodze swym chuciom szalonym.

Nigdy tu słodkie nie postały cisze,
Brzmiała muzyka po ogromnéj sali,
Rozwięzli roskosz jego towarzysze,
Ogromne wina puchary spełniali,
W wieczór tysiączne światła gorejące,
I znów biesiady i bluźnierstw tysiące.

Z ranioném sercem biedna jego żona,
Podnosi w niebo żałosne źrenice;
Ciężką swą rospacz w głębi tuli łona,
Łza cicha spada na śnieżne jéj lice;
Odchodzi smętna i z oczu mu ginie,
Jak cień, kiedy się w światłości rozpłynie.

Wszystko się czarną okryło żałobą,
Od winowajcy świat cały unika;
Postrzegł człek dumny gniew boży nad sobą,
A gdy go żałość już późna przenika,
Rzuca Jazłowiec, idzie na pustynie,
I tam w zgryzotach i rozpaczy ginie.

Nie dosyć na tém, zostawił po sobie
Małego synka, nadzieję jedynę.
Z tym, kiedy niańka w nadwieczornéj dobie
Idzie na wieżę, piastując dziecinę,
Nieznaną siłą czuje się trąconą,
I puszcza dziecię w przepaść niezgłębioną.

I sama z żalu zrzuca się w pieczary;
Ani ich potém ujrzano popiołów.
Lecz Bóg przestępnym chcąc dać przykład kary,
Przyjął dziecinę w liczbę swych aniołów,
Jawić się ludziom dał mu udział boski,
Strzedz ich w przygodach i pocieszać troski.

Jakoż dotychczas ten gród opuszczony,
Luba dziecina odwiedzać przychodzi;
Czy burza niszczyć ma rólnika plony,
Czy trwoga padnie okropnéj powodzi,
Maleńka dusza wnet się ukazuje,
Daje przestrogi, pomaga, ratuje.

Nieraz, gdy matce zasłabieje dziecię,
Mały aniołek natychmiast przybywa,
Woń słodka jego oznajmia przybycie,
A jasne światło skronie mu okrywa;
Słodkiém uśmiechem przerywając ciszę,
Białą swą rączką dziecinę kołysze.

A jeśli boskie zrządzają wyroki,
By się dni dziecka zbyt wcześnie przerwały,
Widziano nieraz, jak ów anioł mały
Niosąc je z sobą, wzbijał się w obłoki.
Z schylonėm czołem przed Wszechmocnym stawał,
I dziecię w poczet Cherubów oddawał.

Tak zbrodnie ojca, syn błogosławiony,
Swojém u niebios nagradza wstawieniem.“

Tu skończył starzec głęboko wzruszony;
Ja, com go słuchał z tkliwém rozrzewnieniem,
Jak rzecz w ojczystéj wydarzoną ziemi,
Skreśliłem starca wyrazy własnemi. (M. dom.)

Chłopi.

(Dokończenie.)

Gdzie w długim ciągu lat utrzymywały się stany szlachecki, miéjski i chłopski, tam zawsze stan wyższy od niższego brał zasiłek w ludziach; mieszczanie zostawali szlachtą, chłopi mieszczanami. Ponieważ w Polsce każdy z mieszczan, kto przyniósł usługę krajowi, kto zrobił majątek, został szlachcicem, a chłop jako niewolnik nie mógł wydobyć się na mieszczanina; przeto miasta brały rzemieślników, kupców i zgoła cały zasiłek z zagranicy, lub zaludniały się samymi tylko Żydami, i ztąd bardzo mało było miast istotnie polskich.

Owa murowana Polska za Kazimierza Wielkiego, gdy chłop jeszcze doznawał opieki prawa, stała za królów elekcyjnych, gdy chłopa uciemiężano, jako skielet niegdyś świetnego kraju, i pomiędzy borami rozciągały się pola, na nich chatki z mniejszą sztuką niż bobrów osady budowane, bez dachów, bez dróg bezpiecznych, z połamanemi płotami, z ludźmi biednymi. Te wioski przegradzały miasteczka, tem tylko od wsi różne, że większą miały liczbę rozwalających się chatek, że brudniéjsze od chłopów uwijały się po nich Żydy, wszystkiego jedna tylko główna przyczyna, ucisk najliczniéjszéj klassy ludu.

Nie zwalajmy jednak winy na przodków naszych; czuli to oni dobrze, byli cnotliwi pojedyńczo, tylko nie umieli najcnotliwszym oddać władzy. Władza przynosiła zyski; darli się więc do niéj chciwi; wreszcie ta niewola przyszła do nas razem z chrześciaństwem i całą oświatą ze zachodu; trwała tylko w Polsce dłużéj, bo się późniéj zaczęła. — Ubolewajmy, że ludzkość musi czasem przechodzić przez takie koleje; służmy przynajmniéj za przykład.

Niech każdy, który chóć odlegle bije za uciskiem najliczniéjszéj klassy, uważy, czego pragnie; niech pomni, jakie to skutki pociąga; niech pamięta, że jego życie niedługie, będzie walczył ze śmiercią, a da prawo przeklinać swoje imię, tak spółczesnym jak przyszłym pokoleniom.

Po smutnych doświadczeniach, zaczęto w Polsce poznawać, że trzeba wrócić do dawnego porządku. Sejm roku 1776 polecił Jędrzejowi Zamojskiemu, aby ułożył projekt do prawa cywilnego. W tym projekcie, ukończonym roku 1778, postrzegamy, że myślano przynajmniéj ulżyć chłopom. — Zamojski stósując się do wyobrażeń ówczesnych szlacheckiego narodu, zatrzymuje wprawdzie poddaństwo: chce jednak, aby chłop, który nie ma załogi pańskiéj, ale przyszedł na grunt z swojém bydłem i sprzętem, był wolny; aby zbiegłego chłopa bez zabranych rzeczy pańskich, tylko przez rok można prawnie do wsi wracać; aby dziewka, niemająca od pana pozwolenia do zamęzcia we wsi innéj, i skoro ucieczе i ślub weźmie, napowrót sprowadzoną być nie mogła; aby tylko dwaj synowie chłopa obowiązani byli pozostać przy gruncie, a drudzy mogli iść do miast, lub gdzie im się podoba; aby chłopu wolno było skarżyć szlachcica do grodu; aby szlachcic nad 24 godzin nie więził chłopa bez odpowiedzialności; aby w sądach instygatorowie popierali sprawy chłopskie; aby każdy rozmyślny zabójca chłopa, skoro będzie sześciu jakichkolwiek świadków, był śmiercią karany. — Nareszcie te są ostatnie słowa projektu: „Ponieważ chłopstwo „w grubéj żyjąc prostocie, najmniéjszéj nie ma „wiadomości o obowiązkach swoich względem „Boga, siebie i innych, tak, iż z nich prawie „każdy zły chrześcianin, bezobyczajny i mniéj „pilny jest gospodarz; wiara i dobro publiczne „wymaga, aby tego stanu ludzie w tak ciemnéj „dłużéj nie zostawali prostocie, stanowimy przeto: „ażeby w każdéj parafii przy kościele była szkoła „parafialna, gdzie synowie i córki wieśniaków „przynajmniéj od święta Ś. Marcina, aż do „Świąt Wielkanocnych zostawać i uczyć się powinni, w czém kommissyi naszéj edukacyjnéj „dalsze rozrządzenie czynić pozwalamy.“

Ustawa rządowa roku 1791 w ten zaś wysłowia się sposób: „Lud rólniczy, z pod którego ręki płynie najobfitsze bogactw krajowych źródło, który najliczniéjszą w narodzie stanowi



Kret (talp).

ludność, a zatem najdzielniéjszą kraju siłę, tak przez sprawiedliwość i ludzkość i obowiązki chrześciańskie, jako i przez własny nasz interes dobrze zrozumiany, pod opiekę prawa i rządu krajowego przyjmujemy, stanowiąc: iż dotąd jakiebykolwiek swobody, nadania lub umowy dziedzice z włościanami dóbr swoich autentycznie ułożyli, czyliby te nadania, lub umowy były z gromadami, czyli też z każdym osobno wsi mieszkańcem zrobione, będą stanowić wspólny i wzajemny obowiązek, podług rzetelnego znaczenia warunków i opisu, zawartego w takowych nadaniach i umowach, pod opiekę rządu krajowego podpadający. Układy takowe i wynikające z nich obowiązki, przez jednego właściciela gruntu dobrowolnie przyjęte, nie tylko jego samego, ale i następców jego lub prawa nabywców tak wiązać będą, iż ich nigdy samowolnie odmieniać nie będą mocni. Nawzajem włościanie, jakiéjkolwiek bądź majętności, od dobrowolnych umów, przyjętych nadań i z niemi złączonych powinności, usuwać się inaczéj nie będą mogli, tylko w takim sposobie, i z takimi warunkami, jak w opisach tak nowo przybywających, jako i tych, którzyby pierwéj z kraju oddaliwszy się, teraz do ojczyzny powrócić chcieli, tak dalece, iż każdy człowiek do państw Rzeczypospolitéj nowo, z któréjkolwiek strony przybyły lub powracający, jak tylko stanie nogą na ziemi polskiéj, wolnym jest zupełnie użyć przemysłu swego, jak i gdzie chce; wolny jest czynić umowy na osiadłość, robociznę lub czynsze, jak i dopóki się umówi; wolny jest osiadać w mieście lub na wsiach; wolny jest mieszkać w Polsce, lub do kraju, do którego zechce, powrócić, uczyniwszy zadosyć obowiązkom, które dobrowolnie na siebie przyjął.

Gdyby więc ustawa rządowa była przyszła do rozwinięcia, zdaje się, że według tych premissów los chłopów byłby o tyle złagodzony, o ile Zamojski w przytoczonym powyżéj projekcie zamierzył. *)

Kret (talpa).

Francuzki badacz przyrodzenia, J. H. Dolfus, tak występuje w obronie kreta: „Gospodarze wiejscy i ogrodnicy osobliwszy mają przesąd o krecie. Z pomiędzy zwierząt czworonożnych ssących, jeden tylko kret żyje i szuka sobie pokarmu w ciemnych chodnikach pod ziemią. Podkopując ziemię, narusza tu i owdzie niektóre starannie pielęgnowane rośliny: przebiegając łąki, podrywa cokolwiek darń, która usycha, a usypane przez niego kopce, stawiają przeszkody robotnikowi w czasie kośby. Otóż krzywdy nie do darowania, przyczyny do nieprzyjaznych prześladowań, do łowów podstępnych, aby uśmiercić szkodnika.

Kret żyje w wnętrzności ziemi, na któréj my mieszkamy, i tam także wychowuje swe dziatki. Umarłby w swych kryjówkach, nieoglądając rażących wzrok jego promieni słońca, gdyby mu człowiek nie zamięszał spokojności. Kopiąc i przerywając nasze grunta, zbogaca nas; albowiem czyniąc ziemię pulchną, ułatwia działanie na nię powietrza. Kopiąc, idzie za instynktem zachowawczym: nie używa na pokarm żadnych korzeni roślin. Obejrzenie jego anatomiczne, przekonywa dostatecznie, iż nie jest roślinożernym. Ulubionym jego pokarmem jest owad, który w czasie swych przemian mieszka, jak on, w ciemnych wnętrznościach ziemi i żywi się korzonkami roślin. Ich to szukając, podkopuje kret ziemię, i małe przez to czyni szkody.

Zęby kreta ukształcone są podobnie, jak u zwierząt, karmiących się mięsem. Otworzywszy żołądek, nikt jeszcze nie znalazł w nim roślin, ale tylko resztki nieprzyjaciela, jakiego zjada, skórki niestrawione gąsiennicy lub chrząszcza. Okazuje się z tego, iż kret jest zwierzęciem godném opieki człowieka, gdyż mu jest użytecznem. Aleź, jaką wzajemnością odpłaca mu człowiek uczynione sobie przysługi? — Rozjątrzony zdziałanemi przezeń błahemi przeszkodami, któreby pilna ręka łatwo jedném pociągnieniem grabi uprzątnęła, dybie na jego życie; niewdzięczny samolub, zaprzysięgając śmierć mniemanego winowajcy, karze dobroczyńcę. Ślepy w swym gniewie, obraca go na korzyść nieprzyjaciela, którego zamiast ścigać, proteguje, na domiar swéj niewiadomości i uprzedzenia. — Gdyby lepiéj znano kreta, zaniechanoby czynić nań zasadek, nie zabijanoby zwierzęcia, które łaskawe wydało przyrodzenie, aby nas uwalniało od owadu, co

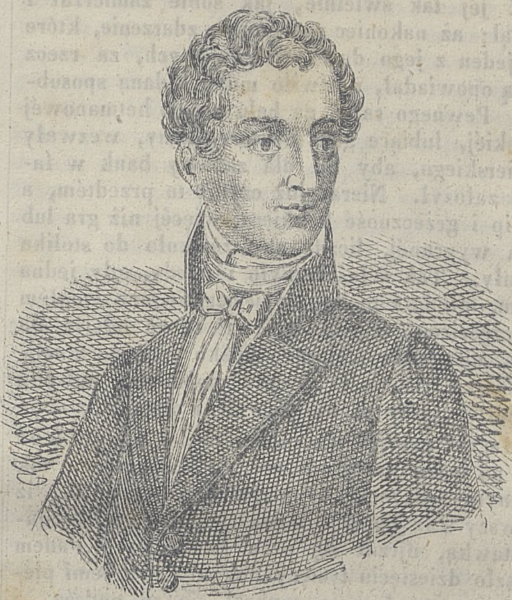
*) Autor powyższego o chłopach artykułu, napisawszy go właściwie do dzieła: Starożytności polskie, odległą tylko przeszłość obejmujące, nie dotknął najważniéjszéj w dziejach chłopów epoki, w xięstwie poznańskiém przez Rząd nasz zdziałanéj, a którą najpóźniéjsze pokolenia i chłopów i całego narodu z wdzięcznością wspominać będą, to jest: nadania własności wieśniakom i ustalenia raz na zawsze ich powinności i ciężarów. O tém wielkiém dobrodziéjstwie i ważnem dla dobra ludzkości kroku, późniéj obszerniéj wspomniemy. P. R.

w najnikczemniéjszym stanie, pustoszy przez swą żarłoczność nasze ogrody i zasiewy, a wykształcony ogałaca drzewa z ich zieloności, i niszczy owoc w samym zarodku. Od czasu do czasu, jakby zawołany, przybywa jak chmura morowa, i szydzi z sposobów, na wyniszczenie swe używanych.

Tomasz Kajetan Węgierski.

Tomasz Kajetan Węgierski urodził się na Podlasiu 1755 roku. Za pierwszém wejściem na świat w Warszawie, żywy jego charakter, wesoły lubo nieco uszczypliwy dowcip, ujmujące rysy i postać, i znakomity do poezyi talent, który z dzieciństwa okazywać zaczął, zaleciły go wkrótce królowi i pierwszym towarzystwom stolicy. Król mianował go szambelanem, i policzył w poczet gabinetowych swoich pracowników, przeznaczywszy od razu przywiązaną do tego obowiązku pensyą.

Szkoda, że wtenczas właśnie zaczynająca się szerzyć w Polsce, nakształt raka, moda francuzczyzny i zdań ówczesnych filozofów francuzkich zajęła zbyt żywo umysł i serce młodego poety, i sprowadziła go z drogi kształcenia się w duchu narodowym na drogę obcego naśladownictwa. Pierwsza młodość Węgierskiego przypadła właśnie na tę epokę, gdy chwała Fernejskiego filozofa, stała w południu zgubnéj swojéj potęgi, oślepiając umysły i wysuszając dusze. Uległ jéj wpływowi Węgierski, mniéj w tém winny od drugich, którym młodość jego i niedoświadczenie za wymówkę służyć nie mogą. Ufny sam w swoim dowcipie, chciał uchodzić za polskiego Woltera, i zapatrując się na mistrza, trefne szyderstwo z wszystkiego, choćby nawet z obyczajów i wiary, poczytał za oznakę wyższego talentu i filozoficznego rozumu. Poezye jego w tym rodzaju nigdzie dotąd drukowane nie były; one to jednak więcéj od drukowanych, rozchodząc się w rękopismie po rękach, imię autora po stolicy i po kraju rozniosły. — Nic nie zdoła i nie powinno usprawiedliwić człowieka, który wziąwszy z natury większą władzę myślenia, czucia i talentu, korzysta z niéj na zgorszenie swych bliźnich, i najszlachetniéjszych darów ducha, używa na poduszczenie w ludziach namiętności zwierzęcych, by w nich tegoż ducha zabiły. Zarzut ten w całéj swéj mocy nie ściąga się do Węgierskiego, lecz do całéj owéj przesławieczněj szkoły pisarzów francuzkich, którzy nadużywając swéj sławy, słusznie zkądinąd nabytéj, dziełami takiemi jak Kandyd, jak Faublas i t. p., prostotę dusz i serc niewinność na długo w całym świecie zatruli. — U nas, pomimo chwilowéj mody w wyższych społeczeństwach stolicy, poczciwość i bogobojność ducha narodowego, nie dopuściły zarazie rozszerzyć się daléj, i wkrótce nawet samychże zarażonych



Tomasz Kajetan Węgierski.

mniéj więcéj z niéj uleczyły. Sam w tém Węgierski może nam posłużyć za przykład. Pomimo znakomitego talentu, pomimo podobającego się dowcipu, lubieżne i uszczypliwe pisma jego, chociaż z chwilowém może upodobaniem czytane, nie zjednały mu szacunku współziomków, i skończywszy swój krótki obieg, na zawsze pewnie w niepamięci zginęły. Łecz na usprawiedliwienie jego powiedzieć należy, że źródłem ich było, nie tak skażone własne serce poety, jak raczéj chęć podobania się nieskażonemu gustowi publiczności, nie złość człowieka, lecz próżność młodego pisarza; gdyż osobiste postępowanie jego za świadectwem współczesnych, którzy go znali, było zawsze proste i szlachetne, tak w towarzyskiém, jak i w obywatelskiém życiu. Jeżeli zaś przypomnimy, że w tymże czasie Naruszewicz, kapłan, biskup, senator, poważny pisarz historyi narodu, tylu nieprzystojnemi płodami pióro swoje i imię zabrudził, przebaczyć musim dwudziestoletniemu młodzianowi, że się dał uwieść natchnieniom cudzoziemskiéj mody. Nigdzie przynajmniéj w pismach Węgierskiego nie widać śladu płaszczącego się dworactwa, ani przesadnych adoracyi magnatów; częstokroć raczéj wpadał w błąd przeciwny, i śmiałością zbyt ostréj, niekiedy osobistéj satyry, wykraczał. To, jak się łatwo domyśleć, wiele nań nieprzyjaźni i nieprzyjemności ściągnęło; i chociaż nieprzestał być ulubieńcem towarzystw, do których uczęszczał, i które swą wesołością i dowcipem ożywiał, sprzykrzywszy jednak Warszawę, największém było jego życzeniem, aby mógł zwiedzić Francyą i Paryż, uważany naówczas za stolicę europejskiéj oświaty. Długo stan skromnego majątku, nie dopuszczał mu odbyć téj podróży, a przynajmniéj

odbyć jéj tak świetnie, jak sobie zamierzał i pragnął; aż nakoniec następujące zdarzenie, które nam jeden z jego dawnych znajomych, za rzecz pewną opowiadał, ułatwiło mu pożądaną sposobność. Pewnego razu, na balu u pani hetmanowéj Ogińskiéj, lubiące grę niektóre damy, wezwały Węgierskiego, aby im dla zabawy bank w faraona założył. Nieraz już czynił to przedtém, a dowcip i grzeczność bankiera, więcéj niż gra lub żądza wygranéj, liczne zawsze koło do stolika ściągały. Tak właśnie było i wtedy, gdy jedna z dam, młoda i piękna, zniecierpliwiona ciągłém nieszczęściem, rzuciła grę, i chcąc odéjść do tańca, ujrzawszy stojącego blisko jednego z najbogatszych naówczas Panów polskich, poleciła mu żartem, aby za nią jéj marki odegrał.

Magnat przyjął zlecenie, i chciał wszystko od razu na jedną kartę odegrać. Lecz szczęście tak dziwnym sposobem Węgierskiemu sprzyjało, iż zabiwszy raz poraz kilkanaście kart z podwajaną stawką, ujrzał się przy końcu gry, Panem przeszło dziesięciu tysięcy dukatów. Z temi pieniędzmi niezwłocznie wybrał się w podróż, i przechwalał się przed przyjaciółmi, że go w nią sama przyjazna Fortuna poséła.

Nie przewidywał niestety, że ta zwodna łaska Fortuny, drogę mu do zguby otwiera. Za przybyciem do Paryża, stopień szambelana króla Polskiego otworzył mu wstęp do dworu i do pierwszych społeczeństw. Nieszczęściem zabawy Paryskie zbyt wielki miały powab dla niedoświadczonego młodzieńca, a nieszczęsne pieniądze, które z gry owéj posiadał, ułatwiły mu sposobność wylania się na zbytki: skutkiem tego osłabione zdrowie zmusiło go udać się do ciepłego klimatu południowéj Francyi, gdzie pomimo usiłowań lekarzy, umarł w Marsylii roku 1787, w kwiecie wieku, bo zaledwo w 32 roku życia, właśnie, gdy dojrzewający jego talent, najpiękniéjsze dla literatury ojczystéj obiecywał owoce. — Podczas podróży swojéj, pisał, jak powiadają, każdodziennie swój dziennik, który z wielu innemi rękopismami, ma się znajdować w ręku jego rodziny. Jeżeli to jest prawdą, życzyć i prosić należy, aby ich dłużéj w ukryciu trzymać nie chciano.

Powyższą wiadomość o życiu K. Węgierskiego wraz z wizerunkiem, wzięliśmy z lipskiego wydania biblioteki klassyków polskich; i przy téj okoliczności, mamy sobie za miły obowiązek oświadczyć należytą wdzięczność wydawcy jéj, Panu J. N. Bobrowiczowi, który tém przedsięwzięciem swojém, równie zapewne dla niego jak dla publiczności korzystném, zastąpił w literaturze naszéj dający się czuć oddawna brak kompletnego zbioru celniéjszych pisarzów. Jedyna dotąd w tym rodzaju edycya Mostowskiego wyboru pisarzy polskich, pomimo wielkich swych zalet i czasowych korzyści, w tak małéj liczbie exemplarzy wybitą została, i tak przez to wysokiéj jest ceny, że nie odpowiedziała bynajmniéj celowi upowszechnienia znajomości pisarzów ojczystych, i po możniéjszych ledwo domach lub bibliotekach znajdować się tylko może; wydanie pana Bobrowicza, mające w całości swojéj zawrzeć wszystkie kompletne dzieła najznakomitszych poetów polskich, ma za sobą wszystkie zalety, jakich tylko po dziele tego rodzaju żądać można: kształtny kieszonkowy format; piękny druk i papier; poprawność, jaką nie wiele dzieł w kraju drukowanych poszczycić się może, i nakoniec cenę mniéjszą, niż najtańszych dotąd edycyj w Polsce. Dwa pierwsze oddziały biblioteki polskiéj, składające się z 25 tomów, i mieszczące kompletne dzieła Krasickiego, Karpińskiego, Naruszewicza (poetyckie), Kochanowskiego, Trębeckiego, Klonowicza, kosztują po cenie prenumeracyjnéj talarów 10. Oddział trzeci, mający zawierać dzieła Szymanowskiego, Zimorowicza, Szymonowicza, Gawińskiego, Węgierskiego, Drużbackiéj, Kniaźnina, którego już tom czwarty wyszedł z pod prassy, kosztuje na prenumeratę tal. 6. — Ale oprócz biblioteki klassyków polskich, poświęconéj wyłącznie poezyi, P. Bobrowicz nie mniéj ważną czyni literaturze przysługę wydawaniem także biblioteki historycznéj, którą historya Naruszewicza zaczyna, a która w dalszym ciągu ma zawierać wszystkie najcelniéjsze dzieła historyków naszych. Format większy od biblioteki klassyków, ozdobność wydania, druk i papier nic do żądania nie zostawują. Cena 10 tomów Naruszewicza tal. 12.

Piwo.

Mieszkańcy stref zimnych północnych wystawieni przez większą część roku na dojmujące słoty lub mrozy, w trunkach, krew zagrzewających a pokrzepiających siły ciała, znajdowali zadowolnienie i folgę. Ztąd piwo i miód, późniéj wódka i wino stały się ulubionemi ich napojami, w których tylko zaczęsto miarę przebierali. Gotom piwo szczególniéj tak się upodobało, że sobie i po śmierci w krainie roskosznéj wieczności, obfitości tego napoju obiecywali. I u Słowian od najdawniejszych czasów znane było piwo. Powiastka o Piaście, którego nawiedzili trzéj duchowie niebiescy w postaci wędrowników, wspomina, że ci uraczeni hojnie, rozmnożyli mu cudownym sposobem mięsiwa, miody i piwo. Byłto w onych odległych wiekach zapewne tylko prosty napój ze słodu, któremu dopiero późniéjsze wynalazki nadały lepszość i w różne zmieniły gatunki. Że na ulepszenie piw obok narodowego i obcy wpływał przemysł, mamy ślad w historyi naszéj za Zygmunta Augusta, któremu cesarz Ferdynand I. dwóch piwowarów Niemców, na ulepszenie browarów polskich, przysłał. Mówi za tą uwagą i to, że w Polsce, W. Polska i Szląsk, jako prowincye z Niemcami pograniczne, najwięcej dobremi piwy słynęły. Już w XIII. wieku Ludgarda, panująca w Poznaniu,

liczne browary pozakładała; a w onych czasach i na dworach xiążąt piwa tak, jak dziś wina, używane były. Piszą o Konradzie, xięciu Głogowskim, że mu cesarz ofiarował biskupstwo w Salzburgu. Wyprawił się na to dostojeństwo z licznym pocztem beczek piwa szląskiego. Ale już w Wiedniu wypróżniły się beczki; a gdy się dowiedział, że w Salzburgu podobnego nie dostanie piwa, wrócił do domu, woląc raczéj wyrzec się godności biskupiéj, jak polskiego piwa.

Wkrótce namnożyły się browary, i obok piw krajowych zaczęto sprowadzać i zagraniczne, tak, iż już Stefan Batory, dla zapobieżenia upadkowi browarów polskich, zakazał wprowadzenia piw obcych.

Piwa dawne polskie, jako to wareckie, piątkowskie, częstochowskie, gerwolińskie, sądeckie, piotrkowskie, i inne, musiały być dobre i tęgie. Gołębiowski Łukasz przytacza wyjątek z rękopismu XV wieku, téj osnowy:

Człowiecze, chcesz ulżyć duszy swéj,
Nie mów często: piwa nalej,
Boć piwo jest dziwny oléj.

I musiało być mocne, oléjne, kiedy statutem z 1573 roku przepisano, aby pod stratą waru i karą 14 grzywien, piwa z jęczmiennego słodu albo z zboża mieszanego nie warzono, tylko z czystéj pszenicy; roku 1685 uchwalono, aby z 2ch korcy pszenicy i 10 korcy jęczmienia warzone było piwo. W tym samym roku już jest wzmianka o piwie szlacheckiém czyli ordynaryjném, nazwa, którą jeszcze dotąd po godłach szynkownych postrzegamy. *) Zdaje się, że w tym czasie już mocniéjsze i lepsze piwa dostarczały tylko browary miéjskie. Lżéjsze piwo i tańsze robiono po wsiach szlacheckich, i ztąd zapewne nazwisko szlacheckiego piwa. Grodziskie piwo głośne już było w 17 wieku, i jako szczególniéj zdrowe zachwalane. Za Augusta III. sławne także było w Poznańskiém piwo Gielniowskie, ostatniemi czasy najlepsze piwo małopolskie w Łowiczu, Warszawie, Wilanowie. **L.**

O zupełném wstrzymaniu się od pokarmów.

Smutnym losem w najmroźniéjsze północy zagnany kraje, ciężką zostałem złożony słabością. Nie mogąc mieć żadnego zaufania w tamecznych lekarzach, postanowiłem chorobę moję zniszczyć głodem. Wstrzymałem się więc zupełnie od wszelkich pokarmów i napojów, lulki nawet nie paliłem. Zupełny wprawdzie brak apetytu przez dni 14 wiele mi dopomógł do wytrwania w mojém przedsięwzięciu, lecz po upłynieniu tychże, głodziłem się jeszcze tydzień cały, i tak do 21 dni leczenie moje przeciągnąłem. Zem chorobę moję w samym jéj zarodzie wytrawił i do zdrowia wrócił, nie wątpiono o tém; nie chciano mi przecież dać wiary, abym tak długi przeciąg czasu niczém się nie posilił, żadnym nie orzeźwił napojem. W piśmie peryodyczném Revue-étrangére wychodzącém w Petersburgu, znajduje się w Numerze 20. z roku 1832 następujący artykuł, który przyczyniając się do poparcia mojego twierdzenia, korzystne światło na przedmiot ten rzuci. Pismo to w następującym sposobie wylicza osoby, znane z samowolnego i długiego głodzenia się. Niejaki Granier 64 dni nie jadł (autor artykułu nie wspomina nic o napoju, ani tytuniu).

Dziewica nazwiskiem Eugent-Gievander-Uliss, mieszkająca na wsi blisko Hagi, licząca lat 42, przestała nagle w 1818 roku używać pokarmów, zapewne w skutku jakiego zdarzenia, o któróm przecież nie wspomniano w doniesieniu. W roku 1820 zaniechała zupełnie wszelkiego napoju, i w chwili doniesienia o tém zjawisku, już przez 9 lat nic nie piła i nic nie jadła. Za rzetelność tego zaręcza kommissya złożona z lekarzy okręgu, w którym mieszka chora. Z resztą znajomem jest, że osoby z nerwami drażliwemi, lub z pomieszanemi zmysły, do nadzwyczajnego zdolne są głodu. Wan der Wiel opowiada o szalonym, który biorąc się za prawdziwego Messyasza, chciał w postach przewyższyć Chrystusa, i najmniéjszego nawet nie przyjął posiłenia od 16go Grudnia 1684, aż do 16go Lutego 1685. Przydać jednakże należy, że nasz urojony Messyasz przez ten czas porządnie kurzył tytuń.

Niektóre uwagi nad skazanymi, którzy się sami zagłodzili, wykazują, że zwyczajném zdarzeniem śmierć, w skutku zupełnego wstrzymania się od napojów i pokarmów, następuje między 17tym i 18tym dniem; jeżeli zaś głodzący się wodę pije do woli, istnienie swoje o wiele przedłużyć może.

*) Godłem czyli szyldem szynkownym była dawnemi czasy w Polsce wiecha, wytknięta przed domem.

Wieża.

(Wyjątek z rękopismu: Słownik starożytności Polski.)

Przy grodach były zwyczajnie więzienia, i do tego używano wieży albo raczéj bastyonu, to jest narożnika od murów, powszechnie okrągło kształtem wieży zbudowanego. Wieża była albo górna, albo dolna (in fundo). W górnéj więzienie musiało być przestronne, jasne, czyste, nawet kratami nie opatrzone. Więzień niepowinien był mieć w niéj żadnych ograniczeń, ani straży; jego honor miał być rękojmią, że nie będzie wychodził. Opał, światło, jadło, sam sobie opatrywał; a jeżeli był ubogi, to ten, który go zamknąć kazał. Wieża dolna powinna była iść na 12 łokci w ziemię i niemieć żadnego piętra do samego dachu. Powszechnie nie było w niéj ani komina, ani okna, a za to wilgoć, ciemność, pełno żab, innych gadów i różnego robactwa. W jednéj, jak w drugiéj wieży, mógł być zamknięty człowiek każdego stanu. — Utrzymywanie wież grodowych należało do starostów.

Miasta miały pospolicie także swoje wieże, a czasem i więksi panowie. Gdy przy grodzie wieży nie było, nastawający na uwięzienie drugiego, skoro miał wyrok przeciw niemu, mógł go zamknąć w jakiéjkolwiek wieży najemnéj, za co opłatę zwano poturmne.

Szczęście i pokój.

I.

— — Szczęście i pokój! — dziwne, ciemne słowa,
Jakaż to was nieznana utworzyła mowa?
Próżno jéj szukam w świecie, wieków, dziejów pytam,
Po grobowcach najstarszych ludów śledzę, czytam;
I ci, co nią mówili, i ona wraz z niemi
Bez śladu, bez wspomnienia, zginęła na ziemi.
Wy się tylko, jedyne tu po niéj ostatki,
Błąkacie jak sieroty zapomnianéj matki;
Brzmicie jeszcze w powietrzu, lecz już nikt na świecie
Ni pojmie, ni odgadnie, co znaczyć możecie.
Ciemną nocą was wieki okryły niezwrotne,
Zgasłym gwiazdom podobne, hieroglify lotne!
A jeśli kiedy człowiek tą marą się łudzi,
Że śpiącéj wśród was myśli jakąś cząstkę budzi;
Nic się tutaj przed jego nie snuje oczami,
Coby mógł z wami równać, lub też nazwać wami;
Tyle mu tylko wasze powiadają brzmienia,
Ile powiew wietrzyka, dźwięczny głos strumienia,
Szelest listka, brzęk pszczoły, lub słowicze jęki,
W pierwszéj świata młodości rozumiane dźwięki.

II.

Zkądże przecież ten urok czarujący, boski,
Tak silnie z was przemawia tajemnicze zgłoski,
Że ledwie was zasłyszy, już się serce wzrusza,
Z głębi swojéj zbolała odpowiada dusza;
Jakieś błogie istnienie przeczuwać się zdaje,
Świetniéjsze przez mgłę ziemską przewidując kraje.
Nie, nie, wy niejesteście dziećmi naszéj ziemi,
Dla was usta człowiecze nie dość są czystemi;
To powietrze zbyt brudne. Gwiazd, słońca lub nieba,
O źródło waszych dźwięków zapytaćby trzeba.
Z anielskich może hymnów uronione brzmienia,
Spadłyście na tę ziemię w pierwszym dniu stworzenia;
I jak ten ranek świata, wdzięczne, czyste, nowe,
Całą może Edenu składałyście mowę;
Lub też miłość w urocznych niewinności latach
Wymarzyła was sobie w swoim śnie na kwiatach,
Jak echa drogich imion, zgodne serc dwóch bicia,
Jak dwie zorze nadziei na ciemném tle życia,
Jak dwie gwiazdy wieńczące rysy młodociane,
I kochanki i bóstwa w jeden obraz zlane.

III.

Sprzeczności ziemskich rzeczy, ciemna! nieprzenikła!
Któż kiedy tę splątaną twoję sieć rozwikła?
Gdy dla tych płonnych dźwięków, dziwnych słów, — daremnie
Odpowiednich im uczuć, myśli szukam we mnie;
Ileż to, w głąb méj duszy zwrócone spojrzenia
Dostrzegają tam myśli, uczuć bez imienia;
Ileż takich, co ciągle w sercach ludzkich śpiące;
Już przespały i jeszcze prześpią lat tysiące,
W zbyt głębokiém i ciemném leżą tu ukryciu,
By mogły w tém tak krótkiém przebudzić się życiu;
Cichy sen ich, godniéjszych krain, światów czeka,
Tam pod słońcem wieczności wykwitną z człowieka,
Tam wszystko z najciemniéjszych zarodów wytryśnie,
I każdy odcień duszy jasnym dniem zabłyśnie;
Tam z świętych, nieśmiertelnych dźwięków zlana mowa,
Przybierze je nakoniec w swoje boskie słowa,
I te, których na ziemi pojąć tu nie umiem,
Tam może poznam, pokój i szczęście zrozumiem.

F. M.

Muzyka do pieśni w N. 24. Przyj. Ludu z r. 1836.

Andantino

Jedzie żołnierz bo- rem lasem, bo- rem lasem, przymierzając gło- du czasem
Chleba, so- li nie-żałować, nie-żałować, trza żołnierza po- ratować,

pp

gło- du czasem, przymiera-jąc gło- du czasem.
po- ratować, trza żołnie-rza po- ratować.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Red. Ciechański.)